ROK VI. CHICAGO, dnia 7-go CZERWCA, 1888. **No. 23**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIAŃSKI:
Czwartek, 7 Czerwca	Roberta Op.	Wisław bł.
Piątek, 8 czerwca	Medarda P.	Wyszosław.
Sobota, 9 czerwca	Prymusa i Felic. M. M.	Sławój.
Niedziela, 10 czerwca	3cia po Ziel. Św. Małgor. Kr.	Bogumił św.
Poniedziałek, 11 czerwca	Barnaby A.	Radomił.
Wtorek, 12 czerwca	Onufrego W.	Wyszomir.
Środa, 13 czerwca	Antoniego z Padwy.	Chytomir.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ III-cią PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Łukasza w rozdz. XV. od w. 1 *do* 11.

W owym czasie przybliżali się do Jezusa celnicy i grzesznicy, aby Go słuchali. I szemrali Faryzeusze i Doktorowie, mówiąc: Iż ten przyjmuje grzeszników, i jada z nimi. I rzekł do nich to podobieństwo, mówiąc: Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeźliby stracił jednę z nich, czyliż nie zostawuje dziewięćdziesiąt i dziewięć na puszczy, a idąc za oną, co zginęła, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, kładzie na ramiona swe, radując się, i przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: Radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moję, która była zginęła. Powiadam wam, że taka będzie radość w niebie nad jednym grzesznikiem, pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty. Albo która niewiasta mając dziesięć drachm, jeźliby zgubiła jednę drachmę, iżali nie zapala świecy i wymiata domu, i szuka z pilnością, ażby znalazła? A gdy znajdzie, zwoływa przyjaciółki i sąsiadki, mówiąc: Radujcie się zemną, bom znalazła drachmę, którąm była straciła. Tak powiadam, radość będzie przed Aniołami Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym.

Łeki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

IX.

„Jeźliby kto rzekł iż miłuje Boga, a brataby swego nienawidził, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może miłować!"

Tenże Jan św. Ewangelista.

Boga na oko miłować, a bliźniego nienawidzić, to jest religia, która przed Ojcem niebieskim nic nie znaczy. Chrystus Pan wyraźnie to wypowiada, kiedy taką miłość i pobożność Faryzeuszów do pobielanych grobów przyrównuje, w których, jak wiesz, bardzo cuchnie i śmierdzi. Że miłość bliźniego jest kamieniem probierczym, czy ty masz miłość Bożą, to sekretarz P. Jezusa w Piśmie ś. napisał na pamiątkę na wieczne czasy, i każdy może to czytać. Przeczytaj jeszcze raz sobie te słowa, com ci je tam u góry umieścił, i posłuchaj, jak ci będę je wykładał.

Jeśli przechodząc koło Bożej Męki nie zdejmiesz czapki, żeś albo zapomniał, albo ten święty zwyczaj w twojej okolicy został zaniedbany, to jednak nie mógłbyś tego na sobie przenieść, abyś miał kląć i bluźnić na tę Bożą Mękę, albo nawet błotem i kamieniami rzucać na nią; musiałbyś już chyba być na ciele i duszy opętany przez najgorszego czarta, coby ci taką złość przeciw Chrystusowi P. kazał okazywać. Boża Męka jest wprawdzie tylko albo z drzewa albo z kamienia, albo jest wyobrażeniem P. Boga twego. Wszakże ja znam jeszcze daleko doskonalsze wyobrażenie Boga, nie z kamienia lub z drzewa, ale bardzo kunsztownie i delikatnie zrobione z ciała i krwi, wewnątrz noszące tchnienie Boże. Wyobrażenie to jest *żywe*, widzi, słyszy i czuje, czy źle lub dobrze się z niem obchodzisz. Pewnie miarkujesz, co mam na myśli. Tem wyobrażeniem żywem Boga jest *człowiek*.

„Bóg stworzył człowieka na wyobrażenie swoje, na podobieństwo swoje stworzył go.“ Takeś się uczył, jakeś chodził do szkoły, w historyi świętej. Więc też Pan Bóg bardzo to sobie uważa, jeśli ty ten obraz, który on tak kunsztownie utworzył, nienawidzisz i prześladujesz, i to ci za wielki i ciężki grzech poczytuje. Że prawdę mówię, możesz się przekonać z kazania P. Jezusa, które miał na górze. Pan Jezus tam tak naucza: „Ja wam powiadam, iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu, Raka: będzie winien rady, a ktoby rzekł, głupcze: będzie winien ognia piekielnego.“ Więc szanuj każdego człowieka z miłości ku Bogu i na chwałę Boga. A chociaż obraz Boży w niektórych ludziach przez grzechy i głupstwa jest bardzo zatarty, splugawiony i podarty to jeszcze nie możesz ich dla tego nienawidzić i nimi pogardzać. Toć przecie widzisz nieraz jak niejedna Boża męka albo figura przy drodze jest porujnowaną, a jednak na to nie zważasz, jeno ją szanujesz, bo wiesz, co ci wyobraża. Albo weźmy inny przykład.

Gdybyś miał twoje dziecko gdzie daleko u jakiego państwa w służbie albo w nauce, a dziecko ci ciężko zaniemogło, a majstrowie albo to państwo byli bardzo twardzi ludzie, tak iż im milsza jest krowa w oborze, lub pies pod ławą, niż bliźni, skoro z niego nie mają korzyści; i gdyby dla tego chore twoje dziecko z domu wyrzucili i oddali żandarmowi, żeby ci je przyprowadził do chałupy, a czy ono przez to w drodze mocniej zachoruje lub z zimna i słoty na drodze umrze, to im wszystko jedno, kiedy jeno sami w ciepłej siedzą izbie: — powiedz mi, bracie, jakby ci było? Czyżbyś nie zapłakał sobie gorzko i głośno z bólu, pożałowania i gniewu? A na odwrot, gdyby tam kto z sąsiadów, jaki poczciwy chłop lub miłosierna kobiecina mówi do siebie: „Słuchajno, Antku, my mamy także dzieci, i nie wiedzieć jak im może wypaść kiedyś, weźmy tego chłopca naszego sąsiada do siebie, bądźmy mu miłosierni i pielęgnujmy go, dopóki sam zaś nie będzie mógł zarobić sobie na kawałek chleba,“ i gdyby ci ludziska tak uczynili, jak pomiędzy sobą gwarzą i radzą, —

cobyś powiedział na to, gdybyś się o tem dowiedział? O jakżeby to dusza twoja wezbrała uczuciem wzruszenia, miłości i radości! Chciałbyś tych ludzi do twego serca przycisnąć i całować ich, i dałbyś prawie życie za nich, gdyby szło o to koniecznie. Patrz teraz, Bóg jest wielkim i pełnym miłości Ojcem. Ta służąca, wdowa i sierotka, rzemieślnik i uczeń, i ci biedni ludzie, którzy mieszkają u ciebie komornem, które ci są winni, bo nie mają zkąd zapłacić, twój przyjaciel i nieprzyjaciel: ci wszyscy są Jego dziećmi, i Bóg każdego z nich miłuje tak, jakby to było jedyne Jego dziecko. Więc też Pan Bóg mocno zważa na to, jak ty względem twego bliźniego, a jego dziecka się zachowujesz, i Bóg kazał ci powiedzieć, że ty tego bliźniego masz tak miłować, jak siebie samego. Jeśli więc Boga miłujesz, pokaż to teraz; Bogu nie możesz nic dobrego uczynić, ale możesz to uczynić jego dziecku kochanemu, człowiekowi pierwszemu lepszemu. To się Bogu nadzwyczajnie podoba. Znasz nie jednego człowieka ubogiego, chorego, smutnego, który jest blizko ciebie na to, abyś pokazał, czy miłujesz Boga, a z miłości ku Bogu czy także miłujesz ubogiego, chorego i smutnego, i czy myślisz o ulżeniu im w ich biedzie i niedostatku. Jeśli zaś tak nie czynisz, to jest, jeśli nawet ze względu na tak wysokiego i zacnego Ojca wszystkich ludzi, którzy są jego dziećmi, z nimi się źle obchodzisz i nie masz dobrego dla nich serca, toś ty jest bezwstydnym kłamcą przed wszystkowiedzącym Bogiem, jeśli w siebie wmawiasz i to głosisz, że ty tego Boga miłujesz! A kiedy idąc do komunii ś. mówisz: „O Jezu, dla ciebie żyć, dla ciebie umierać pragnę! o Jezu, twoim chcę być teraz i po śmierci,“ i bijesz się przytem w piersi zimne jak wąż, a twarde jak dębowa skóra; wtedy szatan parska ze śmiechu i z wielkiego wesela, a Jezus odwraca się z obrazą i niechęcią od twojej niby słodkiej, a obłudnej takiej modlitwy. Albowiem On powiedział: „Po tem poznają, żeście uczniami moimi, jeśli się nawzajem miłować będziecie.“ Po śmierci zaś bardzo krucho będzie z tobą, mój miły bracie, i niech ci tam kto inny dopomoże, bo ja nie umiem.

Ciąg dalszy nastąpi.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Co się stało ze zdrajcami Ojczyzny, i z cnotliwymi Polakami.

Wymierali też i drudzy zdrajcy powoli, a trapieni sumieniem, z nieśmiałością spoglądali na wzrastające niewinne dzieci, które w niewolę oddali. Adam Poniński potłukując się z kąta w kąt, umarł w Warszawie u swego dawnego sługi za piecem, który mu z miłosierdzia od czasu do czasu łyżkę strawy podał. Insi ludzie ze zgrozą odwracali się od Ponińskiego, a nawet wrogowie Polski, jak im się już na nic nie zdał, gardzili nim i grosza mu na życie nie dali.

Branicki spijał się jak niestworzenie, a po pijanemu rwał się do szabli i rąbał Moskali, za co, po trzeźwemu suto im złotem sypał. Umarł wśród takiego opilstwa między Moskalami.

Szczęsny Potocki nigdzie zmiru znaleść nie mógł, dostał też mankolii, z której umarł, a powiadają, iż mu to ztąd przyszło, że raz z daleka usłyszał, jak Lud ruski w jego własnej wsi śpiewał piosneczkę, która się zaczynała:

Panie Potocki Wojewodzki synu,
Zaprzedałeś nam Litwu, Ukrainu.

Dorozumiał się, że napisem na jego grobie będzie „Zdrajca Ojczyzny."

Kościuszkę car kazał wypuścić i darował mu wiele pieniędzy. Ale skoro jeno Kościuszko był za moskiewskim krajem, odesłał mu te pieniądze nazad, niechcąc plamić swoich przeczystych rąk groszem ciemiężycieli. Pojechał do Ameryki, gdzie go z otwartem sercem przyjęli i prosili, aby przyjął majątek za przysługę, którą oddał ich Ojczyźnie. Przyjął Kościuszko ten dar od wolnego Ludu. Ale nie był to już ten dawny Kościuszko, młody i wesoły, jeno smutny i strapiony, po stracie drogiej Ojczyzny, wszędzie mu ciężko i tęskno było. Jeździł więc z miejsca na miejsce, aż przyjechał do Szwajcaryi i tam osiadł.

Ignacy Potocki, Zakrzewski, Kiliński, Madaliński i Dąbrowski, nacierpiawszy wiele, zostali na wolność puszczeni. Służyli jeszcze Ojczyźnie, jak mogli, nauczając w cichości, jak ją kochać, co dla niej robić, a czego się strzedz. A niejeden z nich dożył szczęśliwych czasów dla Polski, jak się to później dowiecie. Księdza Kołłątaja Austryacy przez wiele lat jeszcze męczyli.

Jak wrogowie gospodarzyli w rozszarpanej Polsce.

Zaczęli zaraz nasi ciemiężyciele od zaprowadzenia swoich praw i od sprowadzenia urzędników. Maszerowały więc do Polski kupy Niemców z tłomaczkami na plecach, chudzi i biedni, a w niedługim czasie wytuczeni polskim chlebem, rozsiedli się w pięknych pokojach i przejeżdżali się w bogatych powozach. Kasowali klasztory, a dobra klasztorne rozdawali Niemcom; tak samo robili ze starostwami i z dobrami biskupiemi; w królewskich zaś wsiach dzielili ziemię, na której za małym czynszem osadzali Niemców, których to zowią Holendrami.

Ludowi wiejskiemu nie dali tych praw, jakie mu zapewniła konstytucya 3. Maja, a które jeszcze rozszerzył Kościuszko. O uwolnieniu Ludu z poddaństwa ani chcieli słuchać, a cóż dopiero o zniesieniu pańszczyzny, darowaniu gruntów. Odpowiedzieli panom, którzy to w swoich wsiach zaprowadzać chcieli: że chcą chłopstwo buntować, przypominając mu o takich prawach.

Wolałyć rządy uciemiężycieli, że Lud będzie myślał, że go panowie uciskają, a potem, kiedy mu pofolgują to i Lud do siebie przywiążą.

Język polski poczęli też tępić, gdzie jeno mogli: wszystko od urzędów przychodziło po niemiecku, polski człowiek, odbierał w niemieckim języku sprawiedliwość, więc cóż to tam była za sprawiedliwość, której nikt nie rozumiał? W szkołach dzieci mało co po polsku uczono,Niemcy i niemczyzna przyszła, aby wszystko, co polskie tępić i Polskę przekuwać na swoje kopyto,chcieli wyssać z Polaków nietylko to,co daje życie ciału, ale i to, co daje życie Narodowi, Ojczyźnie.

Tak się działo pod rządem pruskim i austryackim, a i pod moskiewskim nie lepiej. Prześladowali oni religią, a nie w jednem miejscu gwałtem lud zmuszali do moskiewskiej wiary. Żołnierze i urzędnicy licho u Moskali płatni, tak, że z tego, co dostają wyżyć nie mogą; odzierali więc Naród polski gwałtem, albo podstępem, a nigdzie sprawiedliwości na nich znaleść nie było można. Młodzieńców w okrutny sposób brali w rekruty, bo ich łapano gwałtem i wsadzano w dyby, a potem głodząc i bijąc prowadzili gdzieś na koniec świata, tak że rzadko, który wrócił z życiem do domu. Lud wiejski, któremu Polska gotowała taką wolność, wpadł w ciężką niewolę, stali się poddanymi panów, byli liczeni na duszę; można ich było sprzedać, jak trzodę, kazać im pracować, jak bydlętom, wydrzeć dobytek, jak nie ludziom, bo tak było we wszystkich krajach Moskwy, więc tak i z Polską zrobili.

Wszyscy trzej ujarzmiciele kazali Polakom wierzyć i podług tego się zachowywać, jakoby już na wieki przestali być Polakami.

Polacy myślą o wygnaniu z Ojczyzny wrogów, waleczny Jenerał Dąbrowski jedzie do Włoch.

Nic nie pomogły wszystkie gwałty i ciemięztwa wrogów, bo Polacy ani na jednę godzinę nie przestali myśleć o oswobodzeniu Ojczyzny, a młodzież wzrastająca silniej jeszcze Polskę kochała niż jej ojcowie, i więcej jeszcze gotowa, była dla niej w ofierze ponieść. Dzieci tamtych, co kraj zdradzali, już wcale odmiennymi były i starały się zmazać winę Ojców swoich nieraz kosztem krwi własnej. Wszyscy też jeno myśleli, a myśleli, jakbyto najlepiej, a najprędzej uderzyć na wrogów. Zaczęli się więc jedni skupiać na Tureczyźnie ku polskiej granicy, i tam tak sposobić, aby jak czas potemu będzie, zbrojno wejść do Polski. Zebrało ich się tam do 3 tysięcy. Insi znowu przedzierali się do Francyi, gdzie była pod ten czas wielka rewolucya, a Francuzi nie mogąc się inaczej pozbyć swego króla, ścięli go i zrobili u siebie rząd rzeczypospolitej. Drudzy królowie nie mogli

znieść tego, bo się bali, żeby u nich Ludy też tak z nimi nie porobiły. Zmówili się tedy między sobą, żeby zgnieść Francuzów razem z ich rzecząpospolitą, i ztąd się wszczęła wielka wojna na świecie między królami i rzecząpospolitą. Królowie rządzili pół światem, więc mieli wojska krocie tysięcy, a Francya niewiększa jak Polska, nietylko, że im się broniła, ale ich najczęściej zbiła. Bo Francuzi skarali swego króla i inszych zdrajców, a cały naród stanął do broni, jakby jeden człowiek. Świat zadziwiony widział dopiero, co może wielka miłość Ojczyzny i wolności, a Polacy których kraj królowie rozszarpali, spodziewali się, że jak rzeczpospolita u siebie wszystko uskromni, to im przyjdzie w pomoc. Zebrało się więc wielu Polaków w Paryżu stolicy Francuzów i tam radząc między sobą, chcieli, aby im rząd rzetelnie powiedział, co myśli dla ich Ojczyzny zrobić. Rząd Francuzów, jak wszystkie rządy na świecie, obiecywał bardzo wiele, ale jak przyszło co do czego, to mówił: że to później, że to jeszcze nie czas. A łudzili Francuzi i dla tego Polaków, bo pod ten czas w wielkiej byli wojnie z Austryakiem, który się im gwałtem cisnął do kraju. Zbili go więc doskonale, ale żeby mieć pokój na długo, umyślili go zniszczyć do szczętu i to takim sposobem. Austryak był pozabierał wiele włoskiego kraju tak jak oto Polskę, posłali więc Francuzi swoje wojska do Włoch, i nuże bić, a wyganiać Austryaka. Dorozumieliście się pewnie sami, że Włochowie Francuzom dopomagali, nie wyszło też i pare tygodni, a Austryaka wymietli z włoskiego kraju do czysta. Niechcieli więc Francuzi Polaków na siebie gniewać, bo im szło o to, aby ci co byli pod austryackim rządem, wzięli się do broni, a tak Austryak będzie musiał posłać na nich wojsko i osłabi się. Bardzo też Francuzi pochwalili, że się także Polacy sposobią na Turecczyźnie, i prosili, cesarza tureckiego, żeby Polakom tego nie wzbraniał. Pytają się więc Polacy Francuzów, czy i u nich nie mogłoby się zbierać wojsko polskie, któreby się potem przedarło do swojego kraju. Przystali Francuzi na to, jeno, że u nich było prawo, że żadnego obcego wojska nie wolno im cierpieć w swoim kraju, więc radzą Polakom,

żeby się udali do Włoch do Jenerała, który tam wszystkiem rządzi, któremu na imie Napoleon, a zwie się Bonaparte.

Kiedy się to wszystko dzieje, Jenerał Henryk Dąbrowski był z pruskiego więzienia puszczony, bo król pruski miał wielką ochotę, żeby on został w jego wojsku, i mówił Dąbrowskiemu: „Niemasz teraz Ojczyzny, to służ u mnie.“ Dąbrowski mu na to: „Dobrze! Ale niech będzie 30 tysięcy polskiego wojska,“ król pruski się skrzywił, a Dąbrowski nie mając już za czem czekać, ruszył do Paryża. Bardzo mu się tam Polacy ucieszyli i kazali jechać do Włoch do Jenerała Napoleona, żeby się z nim naradził o to wojsko polskie, i żeby nad tem wojskiem został Jenerałem. C. d. n.

Ucieczka z niewoli.

Francuzki rycerz, zwany Gwarinos, był jednym z tych, którzy w dawnych czasach prowadzili wojny z Maurami, mahometańskim narodem, zamieszkałym w zdobytej przez siebie Hiszpanii.

Odwaga Gwarinosa i jego męstwo znane były w kraju, bo często jako zwycięzca powracał z wyprawy, a wtedy wdzięczny naród francuzki wieńczył mu głowę wawrzynem na znak chwały z pokonania nieprzyjaciela.

Ale i na niego przypadł raz traf niepomyślny; w jednej bitwie schwytany został przez wrogów i zaprowadzony przed ich starszyznę. Zaczęto kośćmi na los rzucać, dzieląc się jeńcami i wyrok padł taki, iż Gwarinos dostał się na własność jednemu z królów maurytańskich, który zwał się Marlotes. Ten z dumą patrzał na francuzkiego wodza, który tyle razy pobiwszy jego wojska, wpadł wreszcie w jego ręce, a nacieszywszy się widokiem swego niewolnika, rzekł wreszcie do niego:

— Chrześciański rycerzu, posłuchaj mojej rady. Zrzuć z piersi ten krzyż złoty, zapomnij o swej wierze, ojczyznie, o wszystkiem, co przeszło, przyjmij naszą wiarę mahometańską, osiądź między nami, a uczynię cię wodzem wojsk moich.

Strzedz cię będę jak źrenicy oka, obsypię bogactwami, córkę własną oddam ci za żonę, i dziedzicem tronu mego postanowię.

Gwarinos spojrzał z powagą na Marlotesa, i odrzekł spokojnie:

— Dzięki ci królu za łaskę i wszystkie obietnice, ale niech mnie Chrystus Pan broni, abym miał się kiedy wyrzec Jego św. wiary; raczej zrzec się wolę skarbów i łask wszelkich, niż Maurów twoich na wojnę przeciw współbraciom swym prowadzić. Tam za górami król mój, ojczyzna droga i ukochana rodzina, tam wszystko moje i serce moje tam zostało!

Król Marlotes zadrżał z gniewem na te słowa.

— Jakto, gardzisz złotem, szczęściem i królewskim tronem, nikczemny niewolniku! — biada ci! — Hej! niech przyjdzie straż moja i tego psa niewiernego wrzuci do więzienia! Niech loch najciemniejszy będzie mu mieszkaniem, a szyję sześćkroć niech mu okują łańcuchem. Gdy nadejdzie dzień świąteczny wyprowadzą go na rozstajne drogi, a lud okoliczny, zwołany odgłosem trąby, przypatrywać się będzie, jak smagać będą tego nędznika!

Zaprowadzono więc bohaterskiego jeńca do podziemnego więzienia.

Zaledwie znikł z oczu królowi, ten już zapomniał o nim i o groźbie, którą mu wygłosił. I tak w zaniedbaniu i zapomnieniu jęczał biedny Gwarinos okuty w łańcuchy wspominając tylko z boleścią kraj swój daleki i straconą wolność.

I upłynęło lat kilka, a tylko stróż więzienny, który mu nędzne pożywienie przynosił, jedynym był, który go widywał jeszcze na tym świecie.

Razu jednego, święto wypadło u mahometan. Maurowie cisnęli się do swoich świątyń, a na ulice sypali kwiaty na znak uroczystości. Król Marlotes, ubrany w płaszcz czerwony zasiadł przed pałacem, a dla rozweselenia ludu, zabawę nową zarządził. Na wysokim słupie kazał przybić tarczę, do której młodzież miała rzucać włóczniami, Ten z młodzieży, czyja włócznia w cel trafiając, utkwiłaby w tarczy, miał od króla nagrodę otrzymać.

Już kilka godzin trwała zabawa, każdy Maur szczęścia próbował, ale żaden tarczy nie dosięgnął. Cel wszystkim za wysoko się zdawał umieszczony.

Król namarszczył czoło, oczy gniewem mu błysły i coś groźnie szepnął swym dworzanom.

Był to wyrok, który na jego rozkaz zaraz ogłoszono ludowi, a był on taki jak następuje:

Niech nikt ustami jadła nie tknie ani napoju, niech nawet niemowlętom pokarm będzie wstrzymany, póki kto włócznią do celu nie trafi i tarczy nie rozbije!

Gdy ten okrutny wyrok usłyszano, dzikie krzyki i rozpaczliwe jęki powstały w całem mieście — a były one głośne, że doszły, aż do głębokiego więzienia, w którem marniał biedny Gwarinos.

— Co znaczą te głosy? — rzekł on sam do siebie — czy te krzyki zwiastują jaką radość czy jaki wypadek? Może to wesele królewny głoszą, a może też mnie wywlec mają z więzienia i w obec całego ludu katować sromotnie?

Wszedł stróż więzienny, a zapytany przez rycerza, od rzekł mu:

— Mylisz się, nie jest to ani wesele królewny, ani przygotowanie do twego dręczenia. Dziś wielkie święto i z królewskiego zarządzenia, młodzi i starzy ćwiczą się w rzucaniu włócznią do przybitej tarczy; ale dotąd nikt jeszcze w cel nie trafił, a król zagniewany wydał rozkaz, aby nikt z jego poddanych do ust nie wziął pokarmu, póki tarcza rozbitą nie zostanie. Rycerzowi serce zadrżało i rzekł do dozórcy:

— O gdybym miał tu dawną zbroję, białego konia mego i stalową włócznię, która tak mi wiernie w zwycięzkich bitwach służyła, głowę stawię w zakład, że strąciłbym tarczę niezawodnie.

— Co? czy ufasz, że jeszcze masz dość silną rękę i wprawne oko, by do celu trafić? — zapytał stróż — inni niewolnicy w tem więzieniu i roku wyżyć nie mogli, a i tobie nie wiele się należy; twarz twoja blada i wynędzniała, a szyja starta od łańcucha, który od siedmiu lat dźwigasz; ale jeśli chcesz, pójdę do króla i powiem, czego pragniesz.

To powiedziawszy, stary Maur zatrzasnął drzwi więzienia, a pospieszywszy na plac, gdzie siedział posępny Marlotes, otoczony przerażonym ludem, stanął przed nim i rzekł mu te słowa:

— Królu! ów rycerz francuzki, który siódmy rok siedzi w niewoli twojej w kajdany okuty, prosi o konia swego i zbroję, a obiecuje, że tarczę włócznią ze słupa zbije.

Zdumiony król zawołał:

— Jakto? ów Gwarinos nie zginął jeszcze w podziemiach? widać za mało głodu i nędzy daliście mu wycierpieć! Niech przyjdzie, dajcie mu, co żąda, ale jeśli zbroję swą udźwignie, cudu prawdziwie dokaże.

Dozórca pozwolenie królewskie zaniósł więźniowi. Zaprowadzono go na plac i żądaną zbroję i konia mu podano. Biedny koń ten przez siedm lat używany do wożenia piasku, schudł i zmarniał okropnie, zbroję rycerza rdza czarna okryła. Gwarinos przywdział ją jednak spiesznie na siebie i choć wychudły, osłabły i do kościotrupa niż do żyjącego człowieka podobniejszy, ożywił się nagle, oczy męztwem zajaśniały, przypomniał dawne czasy i twarz pokryła się rumieńcem. Wsiadł raźno na konia; ten zarżał poznawszy swego pana, którego tak dawno nie nosił i zajechał przed króla.

Marlotes spojrzał z pogardą i rzekł drwiąco:

— No, niechże zobaczymy teraz cuda twojej zręczności!

Rycerz zbliżył się na koniu do słupa z tarczą, a gdy mu podano włócznię, cisnął ją tak silnie i zręcznie, że roztrzaskana tarcz w kawałkach padła na ziemię.

Głośne okrzyki dały się słyszeć pośród tłumu, ale nie radością one brzmiały, tylko zazdrosnym gniewem. Kilka rąk z mieczami groźnie wyciągnęło się do góry, kierując się ku głowie Gwarinosa, lecz ten wzniósł zardzewiały swój oręż, grożące bronie odtrącił jednym zamachem, a kiedy mściwi Maurowie obskoczyli go do koła, chcąc zasiekać na miejscu, Gwarinos obracając mieczem na wszystkie strony, napastników trupem położył i gdy się obejrzał w około siebie, ujrzał się otoczonym poległymi i rannymi Maurami. Nowe okrzyki zgrozy słyszeć się dały, lecz w tem zamięszaniu Gwarinos

konia spiął silnie ostrogą, koń zadzwonił w podkowy i raźnym puścił się galopem. Tłum Maurów rzucił się za uciekającym, lecz byli pieszo, a nim konna pogoń puściła się za zbiegiem, ten już był daleko.

Pędził dniem i nocą i szczęśliwie dotarł do Francyi, gdzie rodzina i towarzysze już go mieli za straconego. Po ciężkich, strasznych dniach niewoli odżył wśród serc kochających na rodzinnej ziemi.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Ale ze śmiercią Manesa nie znikła jego nauka kacerska. Co do jego nauki starał się on połączyć religię chrześciańską z religią Zoroastra. Manes przypisywał sobie posłannictwo boskie, nazywał siebie Apostołem Jezusa Chrystusa, daleko uczeńszym od pierwszych Apostołów i w szczególny sposób przez Ducha św. oświeconym. Mniemał, iż on ogłasza światu prawdy, które dotychczas nie były znane. Stary testament zupełnie odrzucili a z nowego Manichejczycy przyjęli tylko 4 Ewangielie i listy św. Pawła i te pisma uważali jeszcze we wielu miejscach za sfałszowane. Sty Augustyn, który sam był Manichejczykiem, zarzucał im, że oni zamiast swoją wiarę poddać pismu świętemu, poddali pismo św. pod swoją fałszywą naukę. Prócz tego Manichejczycy przyjęli księgi Zoroastra i kilka innych ksiąg. Manichejczycy wierzyli, iż obok dobrego Boga istnieje jeszcze inna wieczna i żywa istota zła. Trudna kwestya, zkąd złe na świecie pochodzi, naprowadziła Manesa do przyjęcia owych dwóch odwiecznych pierwiastków. Głównybłąd Manichejczyków leżał w tem, że złe w świecie uważali za rzeczywistą istotę a nie za brak dobrego. Na tym błędzie się opierając wpadli w jak najśmieszniejsze dziwactwa i tak byli zdania, że człowiek ma dwie dusze, jedną dobrą, drugą złą, wierzyli w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie, czcili słońce i księżyc i nie wierzyli w zmartwychwstanie ciała. Wino mieli za

zabójczą truciznę i dla tego swoją komunią na wodzie odprawiali. Ich hierarchia co do liczby była podobna do tej, jaką miał kościół katolicki za życia Pana Jezus, mieli 12 Apostołów, 72 biskupów, potem kapłanów, dyakonów i misyonarzy. Nabożeństwa potajemnie odprawiali, okropności się tam działy, tak iż bez ubliżenia moralności opisać ich nie można. Kacerstwo to rozpowszechniło się w świecie cywilizowanym wtenczas znanym a papieże jak i wielka liczba uczonych około 1000 lat walczyli przeciwko Manicheizmowi. Jak i wszytkie inne tak i ta sekta z czasem znikła ale wieczna prawda, której uczy święty rzymsko katolicki kościół, pozostaje między ludźmi nietknięta.

O działaniu Papieża Eutychiana historya mało nam mówi niezawodnie dla tego, że poganie wiele bardzo pism poniszczyli, wogóle dla tej samej przyczyny wiele wiadomości z przeszłych wieków brakuje. Eutychian odnowił przepisy już dawniej istniejące względem błogosławienia owoców i płodów ziemi, gdy wierni je przynosili do kapłanów prosząc o pobłogosławienie. Miał on szczególnie na oku, aby męczennicy godnie zostali pochowani i powiadają, że on sam własnemi rękoma pochował 362 świętych ciał męczenników w miejscach stosownych.

Po śmierci cesarza Probusa w r. 262 żołnierze ogłosili cesarzem Carusa, za którego panowania Papież Eutychian umarł, dnia 7 grudnia. Nie wiadomo, jaką śmiercią umarł, ale kościół go czci jako męczennika. Był Papieżem 8 lat 5 miesięcy i kilka dni i w tym czasie wyświęcił 14 kapłanów, 5 dyakonów, 9 biskupów dla różnych dyecezyi. Sty Biskup Maxim powiada o nim: „Niebieskiemi słowy kościół nauczał a przez przelanie krwi ozdobił go. W nim była obfitość mądrości boskiej przeciwko błędom djabelskim i stałości serca przeciw prześladowaniu świata chrześciańskiego. Przed obliczem Pańskim nie tylko jego śmierć ale i jego życie było drogocenne, albowiem umierając dał Chrystusowi swoją własną krew a przez swoje napomnienie licznych męczenników niebu pozyskał.“

Ciąg dalszy nastąpi.

Burza na morzu.

Opowiadanie starego żeglarza.

Groźny dla żeglarza nadszedł poranek. Niebo pokryło się ołowianemi chmurami, morze przybrało barwę czarną, wiatr porusza z łoskotem masztami okrętu, i w jednej chwili cały widnokrąg przybrał pozór tak straszliwy, iż najstarsi i najdoświadczeńsi żeglarze poglądają na niebo wzrokiem trwożnym. Pozatykano wszystkie otwory i już w nocy zawinięto wyższe żagle. Okręt śmiało pruje pieniste bałwany, rozbijające się z hukiem o jego boki.

W południe wiatr ustał i nastała cisza tem dziwniejsza, że niespodzianie. Powietrze nadzwyczaj ciężkie, trudne do oddychania. Słońce i całe niebo zabarwiło się czerwono. W dali na południo zachodzie zarysowuje się mały czarny obłoczek, nagle podrasta, rozszerza, się i już objął prawie pół nieba. Rozlega się komenda: „Na swoje miejsca! Zwinąć żagle!“ Jak ptaki majtkowie pną się na maszty, żagle zwinięto i złożono. „Żywo do roboty! Burza nadchodzi!“ Załoga okrętowa pospiesznie spełnia rozkazy. Wtem tuż nad widnokręgiem pojawia się oślepiająca biała smuga, w powietrzu drżącem rozlegają się tajemnicze złowróżbie odgłosy, jak głuche huki trąby; rozkołysane wysoko i pieniące się morze zbliska ma barwę czarną, a w większej odległości bieli się jak śnieg, bałwany zataczają ogromne kręgi i biegną ku okrętowi, zdaleka daje się słyszeć wycie jakby dzikich zwierząt, — nadchodzi burza morska. —
Pierwsze gwałtowne uderzenie wiatru pochyliło okręt na bok tak, iż jego reje dotknęły wysoko wzdętych bałwanów; ale doskonale obmyślany budynek stanął znowu w równowadze i zaczął siłą się przebijać przez zagradzające mu drogę bałwany. W powszechnem przerażeniu dały się słyszeć słowa: „Bogu dzięki“. Nie ma jednak czasu do namysłów: znowu wichry uderzają w okręt, na ciemnem niebie krzyżują się ogniste błyskawice i rozlegają się grzmoty.

Spiętrzone bałwany wdzierają się aż na pokład okrętu, deszcz leje jak z wiadra i tak jest ciemno, że o kilka kroków

nic nie widać. Zdaje się, że wcześnie noc zapadła. Kapitan przemokły od podwójnej ulewy deszczu i morskich bałwanów, stoi wytrwale na swoim mostku, wydając rozkazy. Burza wzmaga się z gwałtownością. Noc coraz ciemniejsza; tylko błyskawice rozjaśniają na chwile nieprzeniknione ciemności, dając widzieć wzburzone morze, piętrzące się wysoko jak góra, bałwany, i rozwierające się między niemi przepaście, w pośród których okręt przemyka się jakby cudem.

Około północy wiatr zaczął powoli ustawać. Niebo się wyjaśniło. Po pewnych oznakach okazało się, że burza uniosła okręt daleko na stronę ku brzegom Afryki. Rozwinięto przeto wszystkie żagle, aby oddalić się od nich na pełne morze, i ujść grożącego u tych brzegów niebezpieczeństwa. Udało się wreszcie pokierować okręt ku północo-wschodowi. Wprawdzie silny wiatr chylił go gwałtownie na bok, ale dobrze zbudowany okręt opierał się mu i pruł wzdęte bałwany. Znużeni majtkowie mogli pokrzepić się spóźnioną wieczerzą, ale o spoczynku nie było można myśleć. Przestrach opanował i najśmielszych. Podróżni leżą na wiszących matach, bo przy ciągłem, to zapadaniu się okrętu w otchłań, to podnoszeniu się jego gdzieś wysoko, nie mogliby ustać na pokładzie.

Wreszcie nastał poranek. Podróżni wyszli z kajut. Kapitan powitał ich wesołem: „Dzień dobry!" Starają się uspokoić, ale widok rozburzonego morza i ciągle piętrzących się jego bałwanów jeszcze trwoży podróżników nieobeznanych z takiemi przejściami. Cóż znaczy rozum ludzki w obec potęgi przyrody? Oddać się trzeba na wolę losu, niezapominając wszakże, że Bóg jest panem wszelkiego stworzenia, i że w Jego rękach spoczywa ludzkie życie. —

Sołtys pewien nakładał na syna w Krakowie dla nauki dostatkiem; ale nakład próżno wiódł; bo pan student więcej gdzie szklankami dzwonią przebywał, aniżeli w kolegium: gdy mu pieniążków nie stało, powędrował do ojca; aby mu dał pieniędzy; nie bardzo się ojcu chciało, że już nań był nie mało łożył. Wkrótce potem kładł ojciec gnój na wóz, a synaczek dziwował się w drzwiach stojąc. Zawoła go ojciec, synu ba chodź jeno! przyszedł; pyta go jak po łacinie widły. Syn rzecze: vidłatus, a gnój? gnojatus, a wóz? vozatus. Rozgniewał się ojciec, dał mu widłami po łbie, mówiąc: Potrafię i ja łotrze taką łacinę: znać, iżeś się za szkołą uczył, nie łotrze: weźmij vidłatus w rękatus, nakładaj gnojatus na vozatus, niechajże już vidłatus będzie twój piórgatus: a mego nakładu nie trać.